RADOSŁAW NAWROT

Australia, no worries

CZĘŚĆ PIERWSZA
TASMANIA

(fragment)

W parku narodowym Southwest National, który wchodzi w skład Tasmanian Wilderness, czyli Tasmańskiego Sanktuarium Przyrody, wszedłem do jednego z nielicznych tu pubów. Skończyłem jazdę z Hobart, zaparkowałem wana na pobliskim kempingu i chciałem się napić piwa. Wszedłem i stanąłem tuż za drzwiami. W moją stronę odwróciło się kilka nieogolonych gąb w wielkich kapeluszach, których Tasmańczycy nie zdejmują chyba nawet pod prysznicem. Odwrócili się z niedowierzaniem w oczach, że ktoś taki mógł tu wejść. Mniej zdziwiłby ich chyba widok wymarłego tasmańskiego tygrysa, który właśnie wkroczył do pubu.

Tasmania to nie Europa. To nawet nie Australia. Tutaj panuje wyraźne rozgraniczenie na swoich i obcych. Tych drugich traktuje się z dystansem większym niż odległość z Polski na antypody.

To nieroztropne próbować się dosiąść do tych kapeluszników. Ani odezwać się do nich samemu. Po prostu trzeba liczyć na to, że któryś sam zacznie rozmowę. Tego szczęścia nie miałem, żaden się nie odezwał choćby słowem. Wszystkie kapelusze przekręciły się z powrotem ku barowi i kuflom.

Nieco inaczej było w filmie „Łowca". W podobnym pubie miejscowi Tasmańczycy ruszają z pięściami na Willema Dafoe za to, że włóczy się po okolicy i szuka w lasach śladów rzekomo wymarłego wilkowora. A kapelusznicy sobie tego akurat nie życzą.

– Piwo, proszę – powiedziałem.

– Które, chłopcze? – barman jako jedyny nie nosił kapelusza.

W kontynentalnej Australii zwróciłby się do mnie per „mate". Tutaj rzucił jakiś niezrozumiały tasmański zwrot, który zapewne również oznaczał „chłopcze".

– A jakie macie?

– Cascade.

Mieli tylko Cascade.

Tasmanian purity, czyli „tasmańska czystość" – to napis na butelce tego piwa, które można dostać w całej Australii, lecz tu jest szczególnie popularne.

– Może być Cascade – rozwiałem wątpliwości barmana.

Cascade to najstarszy browar Australii. Założył go w 1824 roku Anglik Peter Degraves, zesłany tu po kilku latach odsiadki za długi i złodziejstwo. Na południe od Hobart w ręce byłego złodzieja wpadł przeczysty strumyk i to z jego wody zaczął on warzyć piwo, którego etykieta wiele mówi o Tasmanii i jej największym drapieżniku. Najodważniejsze są niebieska naklejka Cascade Premium Light i zielona Cascade Premium Lager – obie przedstawiają parę tych zwierząt. O mamo, kiedy po raz ostatnio widziano parę wilkoworów? Pewnie w latach dwudziestych.

Na etykietach Cascade Pale Ale, Cascade Blonde i Cascade Stout są pojedyncze osobniki, każdy przypomina o smutnym końcu tego ssaka. Zwierz spogląda odważnie na smakosza znad kępki traw, niczym żubr w Polsce, kozioł w Czechach czy łoś w Stanach Zjednoczonych. Ale kto umieszcza na piwnej etykiecie wymarłe zwierzę?

A kto powiedział, że wilk workowaty rzeczywiście wymarł?

W „Łowcy", nakręconym na podstawie książki Julii Leigh, Dafoe gra najemnika wysłanego na Tasmanię, by wytropił legendarnego drapieżnego torbacza, o którym powiadają, że wciąż kryje się w prastarych lasach wyspy. Mówią o nim ludzie, widują go tubylcy, dzieci rysują jego rudawy grzbiet. On nie wymarł. On nadal tu gdzieś jest. Przekonanie o tym jest na Tasmanii powszechne.

– Tazzie – odezwał się wreszcie jeden z kapeluszników, wyrywając mnie z zamyślenia.

Palcem wskazywał na etykietę piwa.

– Tazzie – powtórzył nazwę, jaką Tasmańczycy określają to zwierzę.

Jak już wiemy, w Australii panuje zwyczaj nadawania skróconych, niemal pieszczotliwych określeń wszystkiemu. Australijczycy to Aussie, Tasmańczycy – Tassie, wilk workowaty to Tazzie. Fuzzy, Buzzy, Muzzy – i tak w kółko, by tylko zaoszczędzić choć dwie, trzy literki.

– Piękny – westchnąłem, bo faktycznie na butelce prezentował się okazale. Pozostawało wypić za jego pamięć.
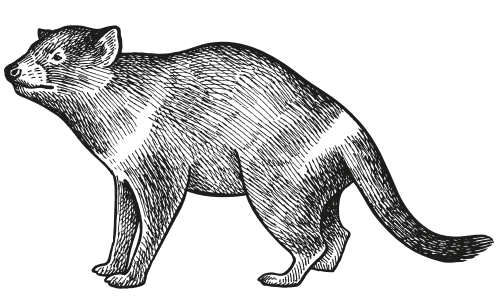
– Masz go na samochodzie – palnął nagle Tasmańczyk.